

VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 01/2025 (66)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Kraina depresji czy laboratorium klimatyczne

Depresja nie tylko psychologom kojarzy się z czymś ponurym i wymagającym działania. Z kolei dla geografów jest ciekawostką ukształtowania powierzchni Ziemi, dla ekologów laboratorium zmian klimatycznych. Żuławy to kraina, gdzie depresja jest nie tylko stanem ducha, ale i geograficznym faktem. Żuławy Wiślane, bo o nich mowa, to miejsce, gdzie Wisła, nasza w części dzika rzeka i jedna z ostatnich takich w Europie, rozłożyła się niczym leniwy kot na słońcu, tworząc deltę, która bardziej przypomina holenderski polder niż polski krajobraz.

Kiedyś, dawno temu, była tu zatoka, a krzyżacki Malbork był morskim miastem portowym. Jeszcze wcześniej przyplływali tu Wikingowie, po których została nazwa Jeziora Drużno (dawnie Truso). Wyobraźcie sobie, że nasi przodkowie, zamiast siedzieć przed telewizorami, postanowili osuszyć morze, a dokładnie zatokę morską. To niczym biblijna opowieść, tylko bez Mojżesza i rozstępujących się wód. Zamiast tego mieliśmy Holendrów, którzy z uporem rolniczych osadników walczyli z wodą, tworząc system kanałów i rowów, który do dziś budzi podziw inżynierów. I z wykorzystaniem wiatru, za pośrednictwem wiatraków wypompowywali nadmiar wody. Żyzna delta – Żuławy – stały się spichlerzem regionu, trudną do życia krainą mlekiem i miodem płynącą. Dlaczego trudną? Bo skąd brać dobrą wodę do picia? Problem w tym, że część tych żyznych terenów leży poniżej poziomu morza. A wraz z globalnym ociepleniem i podnoszeniem się poziomu mórz i oceanów depresja będzie się powiększała. A wraz z tym wysiłki, by ochronić te tereny przed zalaniem. No cóż, Żuławy zaczynają przypominać Wenecję, tylko bez gondoli i romantycznych serenad. Zamiast tego mamy wizję zalanych pól, opuszczonych domów i... no właśnie, depresji. I to nie tylko tej geograficznej.

Przyroda, jak to przyroda, zawsze znajdzie sposób, by odzyskać swoje wcześniej utracone tereny. Niebawem Żuławy staną się rajem dla ptaków wodnych. Może zamiast uprawiać zboże, będziemy hodować ryby? Kto wie? Jedno jest pewne: zmiana jest jedyną stałą w przyrodzie. A my, ludzie? Cóż, musimy nauczyć się żyć z tą zmianą.

Żuławy to nie tylko kraina depresji. To także kraina nadziei. Nadziei na to, że potrafimy dostosować się do zmian globalnego ocieplenia. A jeśli nawet nie, przynajmniej będziemy mieli piękne widoki na zalane pola i pływające krowy. Lub raczej syreny...

Żuławy Wiślane to nie tylko fascynujący region o bogatej historii. To także

laboratorium, w którym testujemy naszą zdolność do radzenia sobie ze zmianami klimatycznymi. Obserwując i analizując procesy zachodzące w tym unikalnym ekosystemie, możemy zdobyć cenne informacje, które pomogą nam chronić inne regiony Polski i świata.

Żuławy przypominają, że nie da się zamknąć oczu na globalne ocieplenie, nie da się przeczekać go w schronie dla miliarderów ani zakazać dekretem, nawet dużego światowego mocarstwa. Mamy wybór: ponosić koszty lub inwestować w adaptację. Poradzimy sobie jedynie wtedy, gdy będziemy współpracować w skali międzynarodowej. Przykładem może być Unia Europejska.

Lepiej i mądrzej mierzyć się z wyzwaniami i zagrożeniami, a nie populistycznie zaklinać rzeczywistość. Denialiści (zaprzeczacze) nie uratują nas przed wysoką wodą – nie tylko na Żuławach. ■



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Kraina depresji czy laboratorium klimatyczne

04 WYWIAD

Z MARKIEM JAGODZIŃSKIM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

08 RECENZJA

ANITA ROMULEWICZ: Książka o ludziach z miasta

10 WIERSZE

ERDMUTE SOBASZEK: Wiersze

11 DEBIUT

KAMILA HELWAK: Wiersze

12 PROZA

FILIP KARAM: Luckystar

14 DEBIUT

KAROLINA PIOTROWSKA: Wiersze

15 W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

ANDRZEJ SZWEMIŃSKI

16 GALERIA

ANDRZEJ SZWEMIŃSKI – Żuławy

18 KRÓTKA FORMA

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: Wodne opowieści

20 REGION

URSZULA MADEJA-KULECKA: Czy świat może być obrazem, a miasto „otwartą galerią”...

22 RECENZJA

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA: Menuwea Dariusza Górkiewicza

24 REGION

JAKUB JAGODZIŃSKI: O jedynym emporium wczesnośredniowiecznych Żuław

27 FELIETON

MARY RUMI: Żuławy i kusząca depresja

28 FELIETON

KRZYSZTOF KAPINOS: Elbląg i Hanza: zapomniana potęga Bałtyku

29 FELIETON

KRZYSZTOF KAPINOS: Miasto dresiarzy

30 INICJATYWA

PIOTR NIKE: Elbląg, miasto w (edukacyjnym) rozkwicie

Żuławy to piękna i jakże inna część naszego regionu. Tutaj woda nie stoi, nie błyszczy oczkami, a płynie, układa się wstążkami kanałów.

Według Stanisława Czachorowskiego blisko już Żuławom do Wenecji. W numerze zanurzamy się we wczesnośredniowieczną historię tego miejsca w rozmowie z Markiem Jagodzińskim i jego synem Jakubem. Krzysztof Kapinos opowiada o przeszłości i życiu codziennym Elbląga, o edukacyjnym rozkwicie tego miasta napisał Piotr Nike. Z kroniką elblązań z ubiegłego wieku zapoznaje nas Anita Romulewicz. Urszula Madeja-Kulecka oprowadza nas po elbląskiej „otwartej galerii”. O tym, czy depresja kusi, pisze Mary Rumi.

Warto zejść poniżej, bo to nie tak, że tam się mniej dzieje.

Redakcja mówi – wszystko zależy od punktu widzenia...

VariArt



VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483

Nr 01/2025 (66)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.olsztyn.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Dziekiewicz, Krzysztof Kapinos,

Agnieszka Klisz, Anna Rau, Anita Romulewicz, Karolina Rogóż-Namiołko

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Pierwsza strona okładki: Przemek Kozak skład: Iwona Bolińska-Walendzik

Czwarta strona okładki: Nikola Szajnóg, *Syrenka Żuławska*, 2025

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski, Olsztyn

Z MARKIEM JAGODZIŃSKIM rozmawia KAROLINA ROGÓZ-NAMIOTKO

Ślady Wikingów nad Drużnem – historia odkrycia Truso

Jak rozpoczęła się Pańska przygoda z archeologią i co doprowadziło Pana do odkrycia Truso?

Moja przygoda z archeologią rozpoczęła się już w młodości, kiedy zafascynowały mnie dawne dzieje i ślady przeszłości, które można odnaleźć w ziemi. Studiowałem archeologię na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zdobyłem solidne podstawy naukowe, ale też ugruntowało się moje zainteresowanie okresem wczesnego średniowiecza i kontaktami słowiańsko-skandynawskimi. Zaraz po studiach dostałem w Elblągu posadę archeologa wojewódzkiego. Mój mistrz, profesor Jerzy Okulicz-Kozaryn, polecał mnie na to stanowisko, powiedział mi, że tu jest parę rzeczy do odkrycia, między innymi Truso. Po przyjechaniu do Elbląga po prostu musiałem poznać teren. Wsiadłem na rower, jeździłem, objeżdżałem szczególnie okolice jeziora Drużno i tak natrafiłem właśnie na ślady tej osady.

Stało się to tak po prostu, przecież wcześniej wielu szukało tego miejsca?

Oczywiście, że nie. Wiedziałem, gdzie szukać, a do odkrycia Truso doprowadziła seria badań prowadzonych w okolicach jeziora Drużno pod Elblągiem, gdzie istniały wzmianki o możliwych znaleziskach z tego okresu. Zaintrygowały mnie doniesienia o odkryciach w tym rejonie oraz toponimia, która sugerowała obecność ważnego ośrodka osadniczego. W 1982 roku rozpocząłem systematyczne badania wykopaliskowe w Janowie Pomorskim, które przyniosły zaskakujące rezultaty – natrafiliśmy na ślady dużej osady handlowej o wyraźnie wikińskim charakterze. Analiza znalezisk, ich datowanie oraz charakter zabudowy pozwoliły stwierdzić, że mamy do czynienia z legendarnym emporium Truso, znanym z relacji Wulfstana z końca IX wieku. Było to odkrycie, które potwierdziło, że obszar dzisiejszej Polski był ważnym elementem szlaków handlowych między Skandynawią a kontynentem, i które na nowo wpisało Truso w mapę średniowiecznej Europy.

Proszę nam przybliżyć, co to jest Truso?

Truso to dawne wikińskie emporium, czyli osada handlowa, która funkcjonowała u ujścia Wisły w IX i X wieku. Zostało ono opisane przez anglosaskiego podróżnika Wulfstana w relacji z jego podróży z Hedeby do Truso. Należy dodać, że przez wieki, Truso pozostawało jedynie wzmianką bez potwierdzenia archeologicznego. Odkrycie Truso w Janowie Pomorskim koło Elbląga w latach 80. XX wieku pozwoliło po raz pierwszy powiązać konkretne miejsce z opisem Wulfstana. Truso było jednym z najważniejszych portów handlowych w rejonie południowego Bałtyku. Działały tam również warsztaty rzemieślnicze, wytwarzające przedmioty charakterystyczne dla skandynawskiego kręgu kulturowego. Dzięki badaniom wiemy dziś, że Truso odegrało kluczową rolę w kontaktach handlowych między Północą a Europą kontynentalną i że była to osada wielokulturowa, zamieszkała głównie przez Skandynawów, ale też Bałtów i Słowian. To odkrycie pokazało, jak ważne miejsce zajmowały tereny dzisiejszej Polski w ówczesnych szlakach handlowych i jak żywe były kontakty międzykulturowe na tym obszarze.

Jakie znaleziska uważa Pan za najciekawsze lub najbardziej zaskakujące?

W 1985 i 1986 roku odkryliśmy wrakowisko łodzi skandynawskich – tzw. długich łodzi, wszystko tuż pod powierzchnią ziemi, więc pozostałości łodzi były mocno naruszone przez głęboką orkę, ale dolne warstwy zachowały się bardzo dobrze. Niesamowitym odkryciem było też dziewięć głowic mieczy, dwie głównie mieczy, jelce, a nawet półprodukty tych przedmiotów – miecze tej klasy trafiały do Europy Środkowej zwykle z Cesarstwa Karolińskiego, w Truso natomiast wytwarzano takie miecze. W jednym miejscu natrafiłem na skład bursztynu – 11 kg nieobrobionych bryłek bursztynu w piwniczce. W budynkach znajdowaliśmy dziesiątki charakterystycznych raków do chodzenia po lodzie oraz kościanych tyżew – przedmioty wykorzystywane do zimowego transportu towarów. To były typowo

skandynawskie przedmioty. Gdy dodamy do tego charakterystyczne ozdoby, zawierające bardzo bogatą symbolikę związaną z wierzeniami Skandynawów: z Thorem, z Odynem i innymi postaciami z mitologii skandynawskiej epoki wikingów, możemy jednoznacznie stwierdzić, że ich użytkownikami byli Skandynawowie – ani Zachodni Bałtowie (Prusowie), ani Słowianie nie używali, nie wytwarzali i nie rozumieli tej symboliki.

Jakie technologie lub rzemiosła były rozwijane w tej osadzie?

Rzemieślnicy zajmowali się jubilerstwem (złotnictwem) – wytwarzali kunsztowne ozdoby z brązu, cyny, ołowiu, srebra, a czasem złota. Były to różnego rodzaju zapinki (fibule), zawieszki czy bransolety. Także obróbka bursztynu prowadzona była na dużą skalę – odkryliśmy liczne paciorki i zawieszki z tego surowca. Szczególną pozycję posiadało kowalstwo – wytwarzano ogromne ilości nitów i gwoździ skutniczych, noży w technice sandwich, elementów mieczy. Dużym zaskoczeniem było odkrycie co najmniej dwóch pracowni szklarskich, produkujących drobne paciorki szklane. W Truso znaleźliśmy też duże szklane paciorki importowane z Kalifatu i Europy Zachodniej. Kolejnym rodzajem wytwórczości było rogownictwo – z poroży jelenia wytwarzano głównie jednostronne, trzywarstwowe grzebienie, znane z Norwegii, Hedeby, Birki. Do tego garncarstwo oraz wytwarzanie sprzętów codziennych. To była bardzo prężnie działająca osada.

Jaką rolę odgrywało Truso w handlu bałtyckim w czasach wikingów?

Trzeba od razu powiedzieć, że był to port handlowy. Wiosną i latem przyływały tu łodzie z towarami; zimą, gdy jezioro i Zalew Wiślany zamarzały, ładunki przewożono saniami po lodzie do otwartego morza. Handel miał dalekosiężny zasięg – Morze Bałtyckie stało się wewnętrznym morzem wikingów. Oprócz ścisłych

kontaktów z duńskim Hedeby i szwedzką Birką, należy wspomnieć o kontaktach z Wyspami Brytyjskimi – np. w angielskim Torksey znaleziono te same odważniki, co u nas. Z Kalifatu Abbasydów napływały do Truso olbrzymie ilości srebra w postaci monet. Natomiast kontakty z Bizancjum mogą potwierdzać Słowianie wschodni, sprowadzeni do Truso z okolic Kijowa, który był ważnym ośrodkiem na szlaku do tego centrum.

Wspomniał Pan o odważnikach, czy to był system wagowo-pieniężny używany w Truso?

Tak. To były odważniki kuboktaedryczne. Jeżeli mamy sześciąt i zetniemy mu narożniki, to dostajemy bryłę z ośmioma trójkątami i sześcioma kwadratami – stąd nazwa. Są to bardzo precyzyjnie wykonane odważniki odlewane z brązu: najmniejszy, jaki w Truso odkryliśmy, waży 0,28 g, największe dochodzą do 2–3 g. Drugi typ to odważniki kuliste z płaszczyznami, u nas zwane beczułkowatymi. Mają żelazny rdzeń, brązową powłokę i specjalne oznaczenia; były nie do podrobienia – każda ingerencja w płaszc od razu zostawiała ślad. W czasach, gdy nie istniały gramy czy kilogramy, odważniki funkcjonowały w zestawach; oznaczenia mówiły, które zajmuje miejsce w serii. Dwaj handlarze kładli na szalkach srebro – na przykład 1,5 dirhema arabskiego – i równoważyli je swoimi zestawami. Gdy dochodzili do zgody, płacono właśnie odważnikiem. To był rodzaj pieniądza – wikingie czekali z brązu.

Czy ten system miał związek z państwem Mieszka I?

Cały czas szukałem powiązań z państwem Piastów... Ibrahim ibn Jakub napisał, że Mieszko pobiera podatki w postaci ciężarków wagowych – „każdemu przypada odpowiednia ilość z nich”. Uważam, że to właśnie ten sam system płatności, jaki stwierdziliśmy w Truso.

Jakie były najważniejsze etapy badań archeologicznych na terenie Truso?

Wszystko zaczęło się w 1982 roku. W ramach programu Archeologiczne Zdjęcie Polski (AZP) prowadziliśmy badania powierzchniowe w rejonie jeziora Drużno. Na jednym z pól pod wsią Janów natrafiliśmy m.in. na fragmenty ceramiki, liczne kości zwierzęce, a także wyroby bursztynowe, wśród których były charakterystyczne dla Skandynawów pionki do gry planszowej hnefatafl – to był pierwszy sygnał, że mamy do czynienia z czymś wyjątkowym. W kolejnych latach – szczególnie w sezonach 1985 i 1986 – odkryliśmy elementy przystani portowej, pozostałości po warsztatach rzemieślniczych, liczne przedmioty importowane: arabskie dirhemy, ozdoby, broń, a nawet fragmenty szklanych naczyń pochodzących z Nadrenii, ale też z południa Europy, z okolic Wenecji. Duży przełom przyniosły badania ratownicze przy okazji budowy drogi krajowej nr 7 w latach 2007–2008. Przebadaliśmy wtedy część peryferyjną osady, tzw. zaplecze – to tam mieszkali Słowianie wschodni, którzy funkcjonowali obok wikińskiego centrum. Te badania wykazały, że Truso było nie tylko portem, ale całym złożonym organizmem społeczno-gospodarczym, w dodatku wielokulturowym.

Co wyróżnia Truso na tle innych wikińskich portów, takich jak Birka czy Hedeby?

Każde portowe emporium miało swój charakter, zależny od warunków naturalnych. Birka powstała na wyspie Björkö, a w wąskich fiordach zatapiano łódzie, by utrudnić atak. Hedeby – około 20 hektarowa osada – miała półkolisty wał od strony lądu i palisadę od strony wody. W Truso również, przypuszczam, był wał obronny od lądu, a od strony wody, dostępu do portu broniła drewniana palisada – nazwy jeziornych toni ‘cztery pale’, ‘tysiąc pali’ sugerują ich istnienie. Było to centrum bogactwa, więc – tak jak Birka i Hedeby – często było napadane i palone.

Jaki jest obecny stan stanowiska archeologicznego?

W tej chwili osada jest w miarę zabezpieczona. Teren należy do rolnika, który dba, by ten obszar był nietknięty, dostaje środki z programu Natura 2000, dwa razy do roku kosi trawę, nie orze. Mieszkańcy Janowa patrzą, czy ktoś się nie kręci z wykrywaczem. Teraz to pola – nic ciekawego nie widać – ale z wysoczyzny można zobaczyć jezioro Drużno i poldery dawnego portu.

Czy planowana jest rekonstrukcja Truso?

Sama osada jest wpisana do rejestru zabytków – tam nie planujemy rekonstrukcji. Powstało Stowarzyszenie Miłośników Truso, którego jestem członkiem. Chcieliśmy wspólnie zbudować replikę osady trochę dalej, nad jeziorem. Muzeum w Elblągu myśli o niewielkim zespole budynków i przystani na Wyspie Spichrzów – przedsmaku rekonstrukcji, który włączyłby Truso w trasę turystyczną.

Co pana najbardziej zaskoczyło w odkrywaniu Truso?

Każdy pytał: „No dobrze, skoro to była taka wielka osada, to gdzie cmentarzysko?”. Trop prowadził do opowieści nadzorca Platha z około 1860 r. Wówczas plantowano plac przed pałacem w Janowie i znaleziono szkielety z „prerażającymi zębami”. Dziś wiemy, że u kupców wikińskich nacinano zęby jako znak gildii. W 2021 r. zrobiłem sondaże: najstarsze warstwy, jakie odkryliśmy, pochodziły z końca XIX w., poniżej był już tylko naturalny calej – wszystko wybrano. Niemcy zniwelowali nekropole, wożąc urobek na groble jeziora Drużno. Zagadka jest więc rozwiązana – cmentarzysko istniało, lecz zostało zniszczone.

Dlaczego Truso upadło?

Wszystko się kiedyś kończy. Gdy skończył się okres wikiński, powstały państwa



Fot. z archiwum M. F. Jagodzińskiego

feudalne z ogromnymi możliwościami. Tak jak obok Birki wyrasta królewska Sigtuna, a naprzeciw Hedeby – Szlezwik, tak po Truso powstaje królewski Gdańsk. Porty nowego typu leżały bliżej morza i miały silniejsze zaplecze państwowe – dla takiego Truso nie było już miejsca.

Co to odkrycie znaczy dla Pana osobiście?

To jest całe moje życie. Na przepustce z wojska, w 1981 r., wsiadłem na rower, odkryłem osadę i w 1982 r. rozpocząłem badania. Przeszedłem na emeryturę, a Truso wciąż badałem: od pierwszego wykopu po ostatni raport. Teraz najważniejsze są jednak opracowania i publikacje – od 2012 roku publikowane są w specjalnej serii wydawniczej Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu, poświęconej Truso (Studia nad Truso), w 2024 roku wyszedł właśnie V tom tych Studiów, prezentujący wyniki badań strefy portowej w latach

2000-2008. Obecnie pracujemy nad tomem VI, w którym opublikowane zostaną artefakty związane z wytwórczością kowalską i płatnerską. Przed nami jeszcze dużo pracy, ale to nie dziwi – Truso to niezwykle bogate w znaleziska miejsce. Nie każdy trafia na takie stanowisko – miałem szczęście.

Jakie przesłanie przekazałby Pan młodym archeologom?

Każde stanowisko trzeba traktować tak samo – czy to Truso, czy mała osada. To ślad działalności człowieka; trzeba w nim widzieć ludzi, którzy budowali, kochali się, kłócili. Badania muszą być interdyscyplinarne: oprócz topaty – próbki dla przyrodników, botanika, rekonstrukcja środowiska. I pamiętajcie, że nawet skromny zabytek wnosi informacje do naszej wiedzy o dawnych społecznościach. ■

ANITA ROMULEWICZ

Książka o ludziach z miasta

Dobrze się dzieje, gdy książka budzi dyskusję. Szczególnie kiedy dotyczy ona spraw tak istotnych jak tożsamość. W regionie cierpiącym na nieprzemijającą czkawkę historyczną każdy przejaw przywiązania kulturowego do miejsca wydaje się być zdrowy. Takie poruszenie wywołała ostatnio publikacja *Elbląg i elblążanie w fotografii własnej: lata sześćdziesiąte*. Po niewątpliwym sukcesie czytelniczym tomu pierwszego, wielu spodziewało się po kolejnej odsłonie przynajmniej tego samego. A tymczasem...

Cofnijmy się na chwilę do 2007 roku. Do sprzedaży trafia wydany nakładem Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu album *Elbląg i elblążanie w fotografii własnej: lata czterdzieste, lata pięćdziesiąte*. Jak zawsze w przypadku tego wydawcy – to edytorska dobra robota. Jak można było przeczytać w zapowiedziach: „Głównym celem autorek albumu było pokazanie historii miasta i jego mieszkańców w piętnastu powojennych latach”. Krystyna Laskowska i Wiesława Rynkiewicz-Domino stworzyły wciągający, wielowarstwowy obraz Elbląga z jego ówczesną, unikalną aurą poznawania siebie na nowo. Dzisiejsi Elblążanie, zwłaszcza starsze pokolenie, z fascynacją i niemal filatelistyczną obserwacją zanurzyli się w dziesiątkach zdjęć. Dla badaczy miasta prawdziwą gratką okazały się unikatowe i dotąd nigdzie niepublikowane zdjęcia szeroko ujętej codzienności. Natomiast fotografia wybrana na okładkę, zdaniem odbiorców, doskonale oddała klimat i energię tamtego czasu. Dla wielu czytelników to osobisty album rodzinny, na który złożyły się ich skrupulatnie przechowywane zdjęcia i równie starannie pielęgnowane wspomnienia.

Nie dziwi zatem, że tom drugi, na który mieszkańcy miasta musieli czekać niemal dwadzieścia kolejnych lat, wzbudził tyleż samo niekłamanej radości, co żywej, krytycznej dyskusji. Tym razem album *Elbląg i elblążanie w fotografii własnej: lata sześćdziesiąte*, wydany w 2024 roku, przygotował Michał Kozłowski, kustosz Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu, specjalista w zakresie

rzemiosła i sztuki, a także organizator wystaw. Swoje doświadczenie zawodowe przekuł on tym razem na wydawnictwo drukowane, w którym skomponował obraz następnej dekady rozwoju rodzinnego miasta. I jak w przypadku publikacji wcześniejszej, na niezwykłą panoramę Elbląga lat 60-tych XX wieku złożyły się kadry uchwycone przez ówczesnych mieszkańców. Autor, podobnie jak wydawca, znów dołożył wszelkich stań, by książka edytorsko prezentowała się nienagannie. Stworzyli dokument, który stanowi zapis żywiołowych przemian społecznych i kulturalnych tamtego okresu. Nie brak w nim też świadectw transformacji ustrojowej jaką przechodziła cała Polska. Dla historyków to doskonałe źródło ikonograficzne do pogłębienia badań nad dziejami miasta. Ale to, co najbardziej poruszyło zwykłych czytelników w nowym albumie, to zdjęcia codzienności, portrety ich samych lub osób im bliskich i okazja, by zaznaczyć swoją krótką obecność na kartach wielowiekowych kronik.

Twarze, sceny, drobne gesty, w tle znane lub ledwo rozpoznawalne już przestrzenie czy budynki – oto co udostępnili wraz z fotografiami elblążanie. Dla nich walor albumu to detal uchwycony na zdjęciu, coś, co dawno temu minęło. Pojedyncza fotografia darczyńcy znów porusza indywidualne emocje, a gdy znajdzie się wśród wielu innych zdjęć, zaczyna tworzyć wspólną opowieść. Każde zdjęcie opatrzone komentarzem wnosi osobisty, niemal intymny wymiar tej zbiorowej historii. Dlatego też tak ważne jest, by autor, chcąc oddać atmosferę miasta, umiejętnie komponował z owych emocjonalnych warstw wspólny, nieprzekłamany obraz. Tymczasem, zdaniem wielu czytelników, Michał Kozłowski już na etapie doboru zdjęć i ich proporcji spowodował zniekształcenie opowieści, która nie oddaje ówczesnego charakteru miasta, głównie życia społecznego Elbląga w latach sześćdziesiątych. I choć należy podkreślić prawo autora do subiektywnego wyboru zawartości książki, to jednak gdy jej bazową treść stanowią fotografie samych mieszkańców, warto liczyć się z ich opinią. A ta nie we wszystkich aspektach jest pozytywna.



Elbląg i elblązanie w fotografii własnej lata sześćdziesiąte

Elbląg 2024

Najwięcej kontrowersji wzbudził rozkład zdjęć i wybór fotografii na okładce. W pierwszym przypadku, głosy niezadowolenia komentujących w mediach społecznościowych dotyczyły stronniczego przedstawiania w albumie konkretnych osób, z jednocześnie słabym eksponowaniem person powszechnie uznanych za kluczowe dla tego czasu i miejsca. Żal elblązanom, że nienależycie upamiętniono w publikacji tak znaczące postacie elbląskiej kultury jak Gerard Kwiatkowski czy Janusz Hankowski. Część spodziewanych twarzy w ogóle została pominięta. Ponieważ oczekiwano bardziej obiektywnego przekroju społeczeństwa tamtych lat, niektóre wybory autora wzbudziły po prostu rozczarowanie.

Z kolei okładkowe, udane artystycznie zdjęcie młodej, uśmiechniętej kobiety z dzieckiem, uznano za zupełnie niereprezentatywne i wybitnie subiektywne. Fakt, że ową kobietą jest Nina Wojewska, później Bleszczyńska-Wojewska, postać ściśle związana z życiem kulturalnym Elbląga w latach 60-tych XX wieku, niewiele pomogło. Mieszkańcy Elbląga spodziewali się, że na okładce znajdzie się kolejne zdjęcie grupowe, ukazujące szerszą społeczność miasta, a nie fotografia jednej osoby. Tymczasem twórcy albumu pragnęli tym właśnie ujęciem symbolicznie ukazać młodość, energię i marzenia o lepszym świecie, które charakteryzowały Elbląg tamtej dekady. Nina Wojewska była wówczas nie tylko młodą matką, optymistycznie patrzącą na świat, ale też pasjonatką oddaną lokalnej społeczności artystycznej. Na co dzień zatrudniona w Teatrze im. Stefana Jaracza, angażowała się w szereg innych działań, jak choćby założenie EL-Klubu Jazzu Tradycyjnego, jednego z najprężniej działających klubów jazzowych w Polsce, czy też popularnego Teatryku Muzyki Mechanicznej „POPS”. Jako stała bywalczyni spotkań kulturalnych w Elblągu i bliska przyjaciółka Gerarda Kwiatkowskiego, założyciela Galerii EL, dokumentowała fotograficznie wiele z ważnych wydarzeń artystycznych w mieście. Jej zaangażowanie w kulturę zostało docenione poprzez przyznanie odznaczenia „Zasłużony dla

Kultury Polskiej” oraz wyróżnienia „Laur ETK” przyznawanego przez Elbląskie Towarzystwo Kulturalne. I choć nie podlega żadnej dyskusji wkład Niny Wojewskiej w dorobek artystyczny miasta, to zdaniem wielu tytuł zobowiązuje. *Elbląg i Elblązanie w fotografii własnej* to książka o mieście i jego ludziach, z różnych grup społecznych, nie tylko świata kultury.

Niewątpliwie album Michała Kozłowskiego to wartościowa publikacja, która nie tylko dokumentuje historię miasta, ale także oddaje emocje związane z jego rozwojem i z przemianami społecznymi. Ten świetny zbiór fotografii i wspomnień przedstawia miasto w jego fizycznym wymiarze, ale także, niezależnie od sporych kontrowersji, oddaje ducha elbląskiej społeczności. Nie sposób odebrać bowiem książce autentyzmu. To zdecydowanie cenne źródło wiedzy o tym, jak miasto wyglądało na danym etapie historii i jak widzieli je sami elblązanie. Starszym otwiera niewielkie okienka dla chwil sentymentu, młodym, jeśli tylko zechcą, pozwoli poczuć atmosferę minionych lat. A żywa dyskusja wokół kolejnej odsłony *Elbląga i elblązan w fotografii własnej* tylko dowodzi, że stała się ona już swoistym pomnikiem lokalnej, mocnej tożsamości.

ERDMUTE SOBASZEK

Wiersze

24 STYCZNIA 2025

Przeniostał cię, dniu
w torbie na zakupy krętymi drogami od szarości poranku
do wieczornego ognia

Torba dziwów
wypchana
niepasującymi do siebie rzeczami
truchłem zabitego szczura
zbitym dzbanem
kroplami topniejącego śniegu
muzyką
pożywieniem
hieroglifami reklam
spozierającymi ze ścian miejskich domów
odzierając ze znaczeń
ściany
domy
i wszystko co w ich zasięgu

Opowieścią z ust żywych
i tym co się nie da opowiedzieć:
oczami W. i troskliwą dłońią B.
kołami wózka inwalidzkiego
i całą
niemożliwą możliwością
życia

DLA OLENY L.

Twoja sylwetka o zmroku
wątka szara kreska
mówiłaś
byłam tam
właśnie wróciłam

Mówiłaś – wiesz,
co innego o tym czytać
a co innego zobaczyć
nie możesz sobie wyobrazić
rakiety domy
i ludzie z coraz to większą
pustką w środku

Stałyśmy na chodniku
rozmowa jak krople mżawki
obok nas za oknami ludzie
światło
mówiłyśmy – kiedyś cały świat
mówiłyśmy – a teraz?!
pytanie, co możemy zrobić
pozostało bez odpowiedzi

Pamiętam
przywozłaś nam tu kiedyś opowieść
sprzed tysiąca lat
okrzyk tłumu nad Dnieprem
– Wydybaj! Wynurz się! –
do boga Peruna
zrzuconego do rzeki
przez świętych
żołnierzy

Bóg – czarny dym
bóg – popiół
bóg – miazga pod gruzami bloku

Z ochrypłym przez stulecia okrzykiem
tarzamy się w kurzu
błagając
o łaskę

KAMILA HELWAK

Wiersze

(dla Marka)

STAŁO SIĘ

Rzeczy stanęły przeciwko sobie
wściekle

Uwięziony w kratownicy godzin
dzień usycha przed zachodem

Ekrany miotają obrazami
jak seriami z CKMów

Zdarte pierzę słów
zapycha nozdrza, usta i oczy

Ziemia zmęczone zwierzę
dźwiga na swoich plecach pijanych tancerzy

Lufy chodzą wyprostowane
mają imiona i nazwiska
zanoszą się od śmiechu

Nie masz nic do powiedzenia
Kto ci wybaczy?

To nie jest o tym jak jest
tylko o tym, co zostanie

Myślę teraz o człowieku-ptaku
który
na prawie niewidocznej już z ziemi linie
rozciągniętej między wieżami
których dziś już nie ma
trzymając dla równowagi długi drąg
ale bardziej jeszcze chwytając się spojrzeniem
pewności horyzontu

stawia kroki

I o jego kochance
w tłumie na dole
zadzierającej głowę jak wszyscy

Wiedziała

Każdy krok –
odpowiada na pytanie reportera
– to nowe życie

RÓŻA

RÓŻnie w życiu bywa
Żaluzja świat przykrywa
PodRÓŻE – dużo dobrego
ŻAłować nie ma tu czego
RÓŻane kolory wszędzie
PoŻAr? Co to będzie?
RÓŻO moja, gdzie jesteś?
ŻAdnych kołców nie masz?
Przeżyj dla mnie, proszę.

NIEPEWNOŚĆ

Siedzę i nic nie słyszę...
To te wiersze wzbudzają we mnie ciszę.
Spoglądam przez okno, patrzę – ciemno...
Widzę przebłyski pojawiające się czasami.
Ubieram się i mówię – pójdę!
Otwieram drzwi, chwila zawahania...
Myślę: „Czy czasem coś się stanie?”
Czyżby niepewność dzisiaj wygrała?
Tylko niech w głowie nie pozostanie!

KAMILA HELWAK (ur. w 1999 r.) – pochodząca z Dobrzyk (gm. Zalewo) absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej i III st. na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Pisze wiersze oraz fraszki, szczególnie dla rodziny (nie ma dnia, w którym nic nie powstało!). Lubi kolor fioletowy. Pasjonuje się organizowaniem podróży. Pracuje w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie.

FILIP KARAM

Luckystar (fragmenty powieści)

W powietrzu czuć było zimą, a temperatura w Nowym Jorku w ostatnich dniach znacznie spadała. Było już tak zimno, że ludzie, mówiąc, obserwowali jak para leci z ich ust. Większość Nowojorczyków próbowała utrzymać swoje typowe pozytywne podejście do życia, jednak to niepewność i chaos rządziły Nowym Światem. Mary szła wzdłuż głównej handlowej ulicy, ciepło opatulona w swoje sztuczne futro imitujące norki. Do Bożego Narodzenia zostało już tylko dziewięć dni, na ostatnią chwilę robiła więc świąteczne zakupy. Znalezienie odpowiedniego prezentu dla Aleksa okazało się niełatwym zadaniem. Krążyła po sklepach przez dłuższą chwilę. „Co można kupić mężczyźnie, który wszystko już ma i tak naprawdę niczego nie oczekuje” – pomyślała. Najlepszym z pomysłów, jaki przyszedł jej do głowy, był telefon komórkowy z aparatem fotograficznym, na który natknęła się w jednym ze stoisk. Była to absolutna nowość, a w końcu Aleks był typem gadżeciarza. Mary zerknęła na kolejną wystawę sklepową, gdzie wystawiony był 52-calowy telewizor plazmowy, jeden z najlepszych. Westchnęła głęboko. „Boże ... nie, na pewno nie potrzebuje kolejnego z nich” – powiedziała do siebie.

Gdy prawie już miała odchodzić od witryny zobaczyła nagłówek jednej z informacji nadawanych na CNN: „Próba porwania grupy Amerykanów... Kolumbia”. Serce Mary waliło z całych sił. „Matko..., przecież Aleks pojechał do Kolumbii na kilka dni...” – pomyślała i pospieszyła w kierunku obrotowych drzwi wejściowych. Gdy biegła do działu z telewizorami, przed oczami mignął jej mężczyzna, który zmierzał w tym samym kierunku. Miał na sobie niebieski prochowiec i długi, szary szalik zakrywający mu połowę twarzy. „Hmmm” – zastanowiła się. Była pewna, że widziała go już w innych sklepach, które dziś odwiedzała. Jej myśli jednak szybko powróciły do wiadomości, które usłyszała. Była już coraz bliżej działu telewizyjnego. Niestety program dobiegał końca i zdołała tylko usłyszeć: „... sieroty z Kolumbii z pewnością będą szczęśliwsze dzięki darowiźnie od anonimowego dobroczyńcy w wysokości 5 milionów dolarów”.
– Czy mogę w czymś pani pomóc? – ochoczo spytał młody pracownik sklepu.
Mary czuła się zawiedziona przegapieniem wszystkich istotnych dla niej informacji i raczej szorstko odpowiedziała:
– Pewnie. – O czym mówili w wiadomościach?

Młody chłopak wyglądał na zaskoczonego i nie do końca wiedział, co ma powiedzieć.
– Wydaje mi się, że raczej nic... ważnego.

Mary pośpiesznie wyszła ze sklepu, poddenerwowana i zatroskana o Aleksa, całkowicie zapominając o złowieszco wyglądającym mężczyźnie, którego podejrzewała o śledzenie.

(...)

Sanders wyskoczył z samochodu i zaczął podążać za Alekssem w bezpiecznej odległości. Ze względu na poranną godzinę wokół było pełno ludzi idących do pracy. Nie było więc obaw, że zostanie zauważony. Aleks tymczasem szedł dziarskim krokiem w kierunku najbliższej stacji metra. Gdy dotarł na miejsce, kupił w kiosku New York Timesa. Nagłówek głosił: „Irak prowokuje”. Pod nim, mniejszym drukiem: „Odmawiając zastosowania się do 147. uchwały ONZ, gromadzona jest broń masowej zagłady”. Po przeczytaniu artykułu Aleks pokręcił głową. Stał teraz w kolejce, by kupić całonocny bilet. Niestety maszyna, która służyła do wydawania biletów była zniszczona i pozostało tylko okienko kasy. Aleksa pochłonęły więc inne artykuły z New York Timesa. Podróżowanie metrem w pewien sposób przemieniało ludzi w podjednostki nieświadome obecności kogokolwiek. Wszystkie ich myśli skupiały się na pragnieniu bycia w innym miejscu.

(...)

Kerni była na posterunku od dwóch godzin. Kręciła się po stacji metra od szóstej rano, w nadziei, że choć przez moment uchwyci Aleksa wzrokiem. Jednak dotychczas bez powodzenia. Aleks przygotowywał się na swój ostatni dzień. Wiedział, że po tym posunięciu będzie musiał zniknąć na dłużej. Był pewien, że rząd Stanów Zjednoczonych uweźmie się na niego. Na stacji zjawił się na czas, opanowany jak zwykle. Była 8:35. Ubrany w granatowy garnitur i jasny płaszcz przeciwdeszczowy zbliżał się do holu, niosąc teczkę. Wielu podróżnych pośpiesznie mijało go w tę i z powrotem. Aleks pomyślał, że bez problemu wmisza się w tłum. Dotarł na peron i stanął tak, by wsiąść do jednego ze środkowych wagoników. Kerni na szczęście udało się go dostrzec w ostatniej chwili.

Wjeżdżając na peron, metro przywiozło za sobą nieprzyjemny podmuch gorącego powietrza, skrzypiąc przeraźliwie podczas hamowania. Wszyscy ruszyli naprzód jak jedna wielka, szara masa próbująca wepchać się przez małe drzwi wagonów. Aleksowi udało się ulokować tuż przy drzwiach i oprzeć się o szybę. Kerni jednak została popchnięta dalej. Stała na samym końcu wagonu, ledwo sięgając wzrokiem głowy Aleksa. Natychmiast włączyła swój radioodbiornik i skontaktowała się z Sandersem. Rwana rozmowa trwała chwilę. Nim zasięg zniknął na dobre przekazała mu kilka informacji o bieżących wydarzeniach. Z grubsza zdążyła jeszcze opisać strój Aleksa i zaznaczyć, że mężczyzna ma ze sobą czarną, skórzaną teczkę z czarnym uchwytem.

Sanders postanowił pozostać w centralnej siedzibie i poczekać na przybycie Marcusa i Dela Busha. Chciał już teraz wiedzieć, jaki jest dalszy plan działania po porażce ubiegłej nocy. Mimo wszystko zawiadomił Kowalskiego i Cunninghama, by pojechali na stację Grand Central, gdzie dotychczas zawsze wysiadał Aleks.

(...)

Tuż za szklanymi drzwiami wagonika siedział raczej wytwornie wyglądający mężczyzna w średnim wieku. Czytał poranne wydanie Wall Street Journal. Jego teczka leżała dokładnie za Aleksem. Okoliczności były idealne. Aleks delikatnie przesunął swoją teczkę do siedzącego mężczyzny, po czym ukradkiem, bez zwracania uwagi kogokolwiek, udało mu się je zamienić. Plan był już zrealizowany, postanowił więc, że lepiej będzie, gdy wysiądzie na stacji tuż przed Grand Central.

Kerni czuła się swobodnie, miała Aleksa w zasięgu wzroku i jej jedynym celem było śledzenie go podczas jego codziennego rytuału. Była pewna, że nic jej tego poranka nie zaskoczy. Gdy dotarli na stację Hunter College metro zahamowało z piskiem. Aleks odczekał do ostatniej sekundy, gdy drzwi zaczęły się zamykać, po czym nie bez wysiłku przytrzymał je i wyskoczył. Kerni była na siebie wściekła, patrząc na Aleksa stojącego na peronie. Teraz nie mogła zrobić już nic. Nadal nie miała zasięgu w swoim radiu. (...) ■



Fot. Urszula Madeja-Kulecka

KAROLINA PIOTROWSKA

Wiersze

ROBOTY

Z krwi i kości
Automatycznie
Pod listę zadań
Do wykonania
Odhaczyć
Odbębnić
Zrobić

Pomyśleć
Powiedzieć

Pomyśleć
Powiedzieć
Zrobić

Pomyśleć
Zrobić
Powiedzieć

Papier się nie zgadza
Następny w kolejce

Szukać bliskości poza zasięgiem
Możliwości.

KRZESŁO I STOLIK

Wiele spotkań
Słowa wypowiedziane
i niewypowiedziane

Oczy wpatrzone w siebie
Rozmowy o wszystkim i o niczym
Rozmowy o sprawach ważnych
i ważniejszych

Czas odpoczynku i czas pracy
Czas konsumpcji i czas działania

Czas tworzenia

SPŁYCENIE

Fotografia
Chwila
Obiektyw zbiera światło
Tworzą się wspomnienia

Cienkie ekrany
Zdjęcia w folderze
W eterze
Dotyk i zapach zamarty

Byt papierowej fotografii
Emocje stają się namacalne
Trwałe
Czuć ciepło
Dotyk
Zapach
Słyszać dźwięki

Energia
Ludzi

KAROLINA PIOTROWSKA – (ur 2005 r.) młoda poetka i wokalistka, która poprzez słowa i muzykę dzieli się swoimi refleksjami o życiu, emocjach i poszukiwaniu siebie. Uczestniczy w warsztatach artystycznych Pałacu Młodzieży, a wiele jej tekstów powstaje „do szuflady” – z potrzeby serca i wewnętrznego dialogu.

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

ANDRZEJ SZWEMIŃSKI – Żuławy

ANDRZEJ SZWEMIŃSKI – (ur. 1956 r.) elblązanin, obecnie mieszka w podelbąskim Oleśnie. Rysownik, zawodowo związany z Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu.

Plastyczne opracowania Szwemińskiego, dotyczące prac wykopaliskowych na terenie legendarnej osady Truso, publikowane były w czasopismach z zakresu archeologii i geografii. Swoje prace prezentował na wielu indywidualnych wystawach, m.in. w Światowidzie w Elblągu, Zamechowskim Domu Kultury, a instalacje – w Lwówku Śląskim. Od lat jest również stałym uczestnikiem Międzynarodowych Plenerów Artystycznych organizowanych przez Światowid. Spółecznie realizuje się w Stowarzyszeniu Mieszkańców Wsi „Oleśno – wieś z pomysłem” i „Stodolarnia – Oleśno”.

Tworzy nastrojowe, delikatne akwarele, pastele i rysunki, w których zatrzymuje ulotne krajobrazy Żuław – wierzby, kanaty, tamy, domy podcieniowe. ■



Rysunek piórkiem, Andrzej Szewiński

ANDRZEJ SZWEMIŃSKI
Żuławy



Dom podcieniowy, akwarela



Dom podcieniowy, akwarela

ANNA RAU I IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Wodne opowieści

Kraina Tysiąca Jezior i mokradeł też ma swoje wodne opowieści...

SMOK Z ŻUŁAW

Dawno temu, gdy żagle wikingów pruty fale Bałtyku, a ziemie nad Zalewem Wiślanym spowijały mgły i tajemnice, wydarzyło się coś, co nie przystoi opowieściom spisywanym w kronikach – lecz ciągle powraca w historiach szeptanych przy ogniu. Smok...

Smok, o którym mowa, wśród wikingów był znany jako Fjorglimr, co można przełożyć jako „Blask Mgły”. Wojownicy o rogatych hełmach schwytali go razu pewnego, gdzieś daleko na Północy, bo był młody i niedoświadczony. Był więc też nieduży jeszcze – o łuskach w barwie starego srebra, z oczami jak zimowe słońce odbite w lodzie. Uwięziony w żelaznych łańcuchach, miał być pokazem siły podczas wyprawy na południe i trofeum, które miało wywoływać trwogę w sercach ludów podbitych.

Fjorglimr jednak nie był bestią żądną krwi. Jak każdy smok był mądry i dobry, i nie chciał walki. Pewnej nocy, przy nowiu, gdy niebo było głucho i czarne, a wikingowie spalili, rozerwali łańcuchy, które krępowały jego skrzydła i obmyli rany w wodzie Zalewu. Odlatując, nie wzbił się jednak wysoko, lecz bezgłośnie zniknął w gęstej mgłę ciągnącej się nisko nad depresją.

I tak trafił na Żuławy.

Był to świat inny niż skaliste wybrzeża Północy. Tu woda stykała się z ziemią w tysiącu cichych języków – rowami, kanałami i rozlewiskami. Ziemia była miękka,

jakby utkano ją z pradawnych snów rzek. Ludzie mieszkali tu spokojnie, trudniąc się handlem, garncarstwem, sztuką bursztynu i żyjąc w zgodzie z tchnieniem wód, jak według rytmu głębokich oddechów ich ziemi. W samym sercu tej falującej wilgocią przestrzeni leżało Truso – miasto kupców i opowieści.

Fjorglimr zamieszkał w wyłożonej ciepłym bursztynem norze wśród mokradeł. Lata mijały, a on rósł w siłę – i w smoczą mądrość. Nocami wznosił się nad rozlewiskami, siejąc pył z łusek i srebrząc ziemię jeszcze przed przymrozkami, rankami zaś widywano go przelatującego nisko nad jeziorem Drużno. Z biegiem lat przestał być dla ludzi tajemnicą – zwierzęta bowiem od początku śledziły jego srebrną obecność, wodząc za nim zmrużonymi oczami.

Smok ludziom stał się opowieścią, a w końcu – symbolem. Był malunkiem na chorągwiach, haftem na tkaninach i kowanym kształtem na ostrzach mieczy. Rzeźbiono go w bursztynie, opiewano w pieśniach, a niektórzy przysięgali, że patrząc w spokojną wodę, można dostrzec odbicie jego skrzydeł, choć niebo niby zostaje srebrne i czyste. Stał się zaklęciem i marzeniem.

Truso jednak w końcu spłonęło, jak wszystkie miasta marzeń. Srebrny smok pozostał – widzialny, niewidzialny, obecny – w dawnej legendzie szeptanej po zmierzchu, w dźwięku wiatru nad trzcinami, w sercu Żuław. Zwierzęta zaś nieodmiennie cichły, gdy przelatywał nad nimi jak wąska łódź o dziobie w kształcie smoczego łba.

Anna Rau



Akwarela, Andrzej Szewiński

JURASSIC PARK

Zanim powstały Braniewo czy Frombork, Zalew Wiślany miał nazwę Estmere. Mieszkali nad nim Estowie, plemię spokrewnione z Wikingami i jak oni posiadali smoki, na wpół oswojone wodno-powietrzne rumaki.

Estowie zniknęli, czy razem z nimi odeszły w niepamięć smoki?

Wieczorami na Żuławach snuje się wciąż opowieści o wynurzających się z kanałów smoczyskach, które robią bałagan na szlakach wodnych, przedstawiając zamknięcia jazów. A i płytkie wody Zalewu czasem w dziwnych miejscach zaczynają wirować i odstaniać łuskowate tułowia potworów, przed którymi uciekają całe ławice ryb.

Kopernik nie raz w gwieździste noce miał do czynienia z czarnymi, przełatującymi nad nim wielkoskrzydłymi, które zanurzały się w wodach Zalewu. Czynił wówczas znak krzyża.

Już dawniej menonici mieszkający na Żuławach planowali wykonać przekop na Mierzei Wiślanej, żeby te złe licha wypłenić stąd na zawsze, żeby wy płynęły na otwarte wody i ich trud dbania o kanały nie był niweczony co chwilę.

Przekop stał się faktem, ale czy chcemy pozbyć się takiej atrakcji? Przecież Wikingowie i smoki to góra pieniędzy z turystyki. Budujemy wyspę Estyjską, tam będzie rezerwat – niczym Jurassic Park.

Iwona Bolińska-Walendzik

URSZULA MADEJA-KULECKA

Czy świat może być obrazem, a miasto „otwartą galerią”...

Od czego zacząć? Czy od roku 1239, w którym to mistrz krzyżacki Hermann von Balk sprowadził do Elbląga dominikanów i tam zbudowali świątynię? Czy od roku 1945, w którym z pięknego, zamożnego miasta, z najstarszą częścią usytuowaną na prawym brzegu rzeki o tej samej, co miasto, nazwie, zostały ruiny?

Aby pisać o chwale Elbląga może należałoby jednak przywołać XIII wiek i jego stołeczną funkcję w Prusach. W latach 60. XX wieku nie było w nim dawnej dumy. Podominikański kościół Mariacki – opustoszały, pozbawiony dachu, jakby zapomniał o swej gotyckiej urodzie i historii swego grodu, jednego z najzamożniejszych miast Hanzy.

Po dwudziestu latach od wojennej pożogi zdarzyło się coś wyjątkowego. Parę lat wcześniej młodzi lokalni artyści założyli klub „Czerwona Oberża” (tytuł zapożyczony z francuskiego filmu z Fernandem w roli głównej). Jednym z założycieli był urodzony w 1930 roku w wiosce Faulen (obecnie Ulnowo) Gerhard Jürgen Blum-Kwiatkowski, zatrudniony jako dekorator w ZAMECH-u – producencie turbin okrętowych i dumie powojennego Elbląga. Młody artysta otrzymuje ruiny kościoła NMP na pracownię, która przeradza się w Galerię EL, a historia, której temat dotyczy, zaczyna się w 1965 roku.

„...Dzieła sztuki wyjdą z ciasnych ram muzeów i sal wystawowych, staną się naszą codziennością, by kształtować i uwrażliwiać współczesnego człowieka. [...] Nie martwy obraz – iluzja dla człowieka, ale żywy człowiek w żywym obrazie. Niech świat będzie obrazem. [...] Dzieła sztuki stać się mogą językiem wspólnym, nie wymagającym słownika. W przyszłości niech nam służy wszystko, by świat stał się obrazem, w którym człowiek będzie żył i pracował dla ogólnoludzkiego dobra [...]”. Dzieła sztuki wyszły w przestrzenie publiczne miasta – I Biennale Form Przestrzennych stało się faktem, a powyższy cytat pochodzi z dokumentu programowego biennale. Pobrmiewa w nim echo modernistycznej awangardy 20-lecia międzywojennego, jest też marzenie o lepszym świecie i misji sztuki, która miałaby taką siłę sprawczą, aby ponure czasy powojnia zmieniać tak, by „świat był obrazem”. Bo wojna to nie tylko ruiny miast, to trudne do sklejenia losy ludzi, ich powojenne wędrówki, szukanie miejsca na „uwicie gniazda” na nowo, nauczanie się

wspólnego języka – tego, który z pojedynczych istnień tworzy sąsiedztwa i społeczności. Kwiatkowski wierzył, że „Dzieła sztuki stać się mogą językiem wspólnym, nie wymagającym słownika”, a „Sztuka musi wkroczyć w naszą codzienność” i „musi otaczać nas przy wykonywaniu obowiązków”. Wielka sztuka wkroczyła w elbląskie przestrzenie, co, biorąc pod uwagę ówczesne realia polityczne i ekonomiczne, było unikatem na skalę nie tylko polską. Na pewno powstało coś wyjątkowego. Sukces niezaprzeczalny I Biennale Form Przestrzennych był wynikiem synergicznych aktywności Gerharda Kwiatkowskiego, członków warszawskiego klubu Krzywego Koła, głównie w osobie Mariana Bogusza, dyrektora ZAMECH-u i jego pracowników współpracujących z artystami przy powstawaniu rzeźb.

Miasto powojnia – z silnym rysem miasta robotników skupionych wokół ZAMECH-u, głównego pracodawcy ówczesnego Elbląga, traci swój szary koloryt znany z innych miast o podobnym charakterze, staje się „Otwartą Galerią”, jak nazywają je dzisiaj – si opiekunowie dorobku, jaki pozostawiły po sobie kolejne wydarzenia – kontynuacja idei biennale.

Uczestniczyli w nim znani i uznani już wówczas artyści polscy – wspomniani już Gerhard Kwiatkowski i Marian Bogusz, Magdalena Abakanowicz, Zbigniew Dłubak, Zbigniew Gostomski, Jerzy Jarnuszkiewicz, Adam Marczyński, Kajetan Sosnowski, Henryk Stażewski – wszystkich trudno wymienić. Zaproszono również artystów z krajów byłego „bloku wschodniego” – Czechów, Węgrów oraz stypendystów Fulbright Joint Government Grant – Jetta Donega z Włoch i Antoniego Milkowskiego z USA, uczestniczących w wydarzeniu dzięki Ministerstwu Kultury i Sztuki. W sumie w pierwszym biennale brało udział około 50 artystów. Biennale miało swą kontynuację w roku 1967 i 1969.

Działalność na tym polu Gerharda Jürgena Blum-Kwiatkowskiego została doceniona zagranicą – był stypendystą Królewskiej Akademii Sztuki w Kopenhadze w latach 1968–1969. W 1974 roku wyjechał na stałe do Niemiec. W czasie obchodów 50-lecia obchodów I Biennale Form Przestrzennych uczestnicy dowiedzieli się o złym stanie zdrowia inicjatora biennale, a wkrótce Blum-Kwiatkowski zmarł w wieku 85 lat.



Fot. Urszula Madeja-Kulecka

Wśród rzeźb znajdujących się w otoczeniu Galerii EL można zobaczyć przeskalowaną kopię pracy Katarzyny Kobro z 1929 roku, którą wykonano w 35-lecie śmierci artystki. Realizacja ta przywołuje rozważania artystki na temat miejsca sztuki w przestrzeni: „Rzeźba stanowi część przestrzeni, w jakiej się znajduje. Dlatego nie powinna być od niej odtęczona. Rzeźba wchodzi w przestrzeń, a przestrzeń w nią.” Jej wypowiedzi wpisują się w ideę biennale jako otwartej galerii miejskiej: „Rzeźba powinna być zagadnieniem architektonicznym, laboratoryjnym, organizowaniem metod rozwiązania przestrzeni, organizacji ruchu, planowania miasta, jego funkcjonalnego organizmu, wynikającego z realizacyjnych możliwości współczesnej sztuki, nauki i techniki, powinna być wyrazem dążeń, zmierzających do ponad-indywidualnej organizacji społeczeństwa”. Nie wszystkie prace ocalały, ale powstały nowe.

W otoczeniu Galerii EL znajduje się ciekawa czarno-biała praca – K-dron architekta-artysty Jana Kapusty. W Parku Kajki znajduje się jedna z ostatnich

z kolekcji form przestrzennych praca jeszcze jednego architekta-artysty – Jerzego Grochockiego. Na terenie Elbląskiego Parku Technologicznego rok przed obchodami 50-lecia I Biennale Form Przestrzennych stanęła kinetyczna rzeźba japońskiego artysty Kaoru Matsumoto.

A czy świat w XXI wieku ma szansę „stać się obrazem”, pozostaje pytaniem otwartym... ■

Bibliografia:

Otwarta Galeria. Formy przestrzenne w Elblągu. Przewodnik, Centrum Sztuki Galeria EL, Elbląg 2015.

MIASTO PRZESTRZEŃ MASZYNA – materiał promocyjny wystawy, Centrum Sztuki Galeria EL, Elbląg 2015.

W obliczu Jubileuszu 50-lecia I Biennale Form Przestrzennych w Elblągu, Centrum Sztuki Galeria EL, Elbląg 2015.

JOANNA CHŁOSTA-ZIELONKA

Cykl: Co warto czytać? Czyli słów kilka o książkach z Warmii i Mazur

Menuwea DARIUSZA GÓRKIEWICZA

W roku 2022 zadebiutował książką pt. *Menuwea* Dariusz Górkiewicz, współtwórca olsztyńskiego zina literackiego „Papierówka”, z zamiłowania pisarz i ultramaratończyk. Powieść nawiązuje do zainteresowań autora, gdyż jest on od wielu lat miłośnikiem i badaczem cywilizacji Majów, m.in. współorganizuje festiwal „Mazury w kolorach Meksyku” w miejscowości Lipowiec koło Szczytyna. W swojej powieści chciał ocalić przede wszystkim wartości uniwersalne, tj. konieczność utrzymywania pozytywnych relacji międzyludzkich w oparciu o wzajemny szacunek i zrozumienie dla potrzeb drugiego człowieka. Tłem utworu uczynił jednak, obok realiów olsztyńskich, rzeczywistość wykreowaną w wyniku fascynacji legendami i wierzeniami starożytnych Majów. Jak przyznaje sam autor¹ pomysł na książkę kształtował się w jego wyobraźni dość długo, gdyż pierwszy jej zarys powstał już w 2008 roku. To pandemia w roku 2020 spowodowała, że notatki zamieniły się w liczącą blisko 600 stron opowieść. Według autora, książka jest summą jego poglądów na życie i jej powstanie wynikało z potrzeby podzielenia się nimi ze światem. Pandemia dała czas, który był potrzebny do stworzenia konstrukcji powieści.

Jej akcja dzieje się na dwóch siostrzanych planetach: jedną z nich jest Ziemia, a drugą – tytułowa Menuwea, która zamieszkała jest przez lud Menuwich, pierwotnych mieszkańców Ziemi. Planety połączone są sekretnymi przejściami, którymi przemieszczają się od tysięcy lat Łącznicy. Jednym z nich jest główny bohater powieści, dziesięcioletni Maurycy/Mauricio. Ma on wykonać misję, polegającą na odnowieniu przymierza ludzi z mitycznym Drzewem Świata. Umożliwi mu to niezwykle dar, którym jest znajomość pierwszej mowy, tj. umiejętność porozumiewania się z roślinami i zwierzętami. Ponieważ chłopiec nie wie, że urodził się w Meksyku i swoje życie zawdzięcza czarownikowi Indian Hobnilowi, który uratował go, przekazując nasiono ceiby z Menuwei, misja, o której dowiaduje się niespodziewanie, przeraża go. Podróż w nieznane staje się dla niego sposobem na szereg inicjacji, a przede wszystkim jest możliwością sprawdzenia siebie w sytuacjach wyboru między dobrem a złem.

Trzeba od razu zaznaczyć, że powieść nie jest skomplikowana pod względem formalnym, choć autor tworzy wiele postaci i umieszcza je w egzotycznej przestrzeni. Inspiracją do wykreowania powieściowego świata był dla Dariusza Górkiewicza, podobnie jak dla Łukasza Staniszewskiego, realizm magiczny. Ponadto, równoległy do rzeczywistego świat Menuwei, który zamieszkują dziwne postacie i gdzie mają miejsce niezwykle wydarzenia, pozwala zaliczyć ten utwór do fantasy. Wymyślona kraina pełna jest różnych, barwnych postaci. Są to: Koronni – opiekunowie chłopca podczas misji, pojawiający się we śnie lud Serafinów, strażnicza przejścia Makira, ostatnia Mummele, która mieszka w jeziorze. W drodze do nieznanego świata Menuwei Mauricio wraz z towarzyszami wyprawy spotykają dziwne stwory: kudłate pająki, Moltoje, Kaduki, Draka, Szantopierza – Gawędziarza. Mamy tu jednak do czynienia z jednoznacznym kodeksem wartości, zmierzającym do poznania prawdy, opartym na zwycięstwie sprawiedliwości, czyli dobra nad złem. Te cechy oddalają nieco Menuweę od techniki fantasy, która będąc formą nowoczesnej baśni nie zakłada takiej zgodności. Dlatego też można postawić tezę, że autor eksperymentował z gatunkami, wykorzystując zarówno cechy powieści realistycznej, jak i fantasy, wspierając się budową tradycyjnej legendy czy baśni. Mamy tu także do czynienia z ukrytym dydaktyzmem, który polega na pokazywaniu młodym bohaterom, podczas wypełnionej przygodami fabuły, właściwych zasad przyjaźni. Dostrzegam w tej powieści także wątek pedagogiki specjalnej. Główny bohater ma problem z nawiązywaniem relacji społecznych:

„Zwykle siedział sam w ostatniej ławce, przy oknie. Starał się być skupiony, bo kiedyś, gdy częściej się zamyślał, pani nauczycielka zagroziła, że przesadzi go do pierwszego rzędu. Sam się do odpowiedzi nie zgłaszał, ale zapytany przeważnie odpowiadał chętnie i na temat. W klasie Maurycy był niezauważany. Niczym się nie wyróżniał, a dzieci odsunęły się od niego już w pierwszej klasie, gdy okazało się, że Maurycy wie więcej niż one. Jako pierwszy okrył, że święty Mikołaj nie

przynosi prezentów, krasnoludki są tylko w bajkach, a czary mary i iluzjoniści to zwykle oszustwo. Z kimś takim dzieci nie chciały się przyjaźnić. Akceptowały go, ale nie zapraszały do wspólnych zabaw”².

Maurycy jest nierozumiany przez otoczenie, a pandemia powoduje, że może nawiązać bliższy kontakt z własną wyobraźnią i spotykać przyjaciół w świecie nierzezywistym. Trudności w nawiązywaniu kontaktów z grupą rówieśniczą mają dzieci w spektrum autyzmu, z ADHD czy zespołem Aspergera. Przygody i misja, która została Maurycemu powierzona, wskazują na jego wyjątkowość i inność, ale w sensie pozytywnym. Chłopiec przestaje czuć się inny, czyli obcy, a zaczyna funkcjonować jako wybrany, czyli niezwykły. Wydaje się, że to najważniejsza inicjacja, która ma miejsce w fabule. Trudno stwierdzić, czy była ona potrzebna tylko samemu autorowi, o czym pisze na własnym FB³, czy też jego intencją było szersze oddziaływanie. Ta egzotyczna opowieść, jak powiedziano wcześniej, pozwoliła jednak autorowi wyrazić własne poglądy także na temat zagrożeń współczesności. Jednym z nich jest reakcja na napływ obcych:

„Poszukujemy sobie podobnych i wspieramy się, aby kierować się naszymi sercami bez względu na konsekwencje. To jedyne, co czyni nas istotami rozumnymi. Dlatego jedynym ratunkiem dla ludzi jest przyjąć obcych bez względu na konsekwencje. Jeśli ze strachu nie chcemy pomóc innym, to tak, jakbyśmy pomagali prześladowcom”⁴.

Troszczy się on o wzajemne międzyludzkie relacje, którym brakuje szacunku, pokazuje na czym polega prawdziwe wsparcie, miłość i przyjaźń. Niepokoją go zagrożenia klimatyczne, ale też wyniszczająca przyrodę działalność człowieka:

„Doszliśmy do kresu. Czas na zmianę. Ja wierzę, że drzew na Ziemi będzie przybywać. Wierzę, bo nie ma innej możliwości. Bo jeśli to nie nastąpi, to wszyscy jesteśmy zgubieni”⁵.

W powieści znajduje się także miejsce na regionalne „wycieczki”. Maurycy odnajduje w pobliskim Lesie Miejskim położonym przy olsztyńskiej dzielnicy Jakubowo miejsce mocy. Znajdują się tam symboliczne budowle: Most Smętka i Diabelski Most, a także emanuje zła energia, płynąca z nie tak odległych czasów po II wojnie światowej, kiedy to niesprawiedliwie potraktowano tutejszą ludność.

Wszystkie intencje autora, które zainspirowały go do napisania powieści są dość czytelne i wpisane w jej strukturę. Zaprezentowany świat jest logiczny zarówno w pierwszym planie, jak i w kolejnych, bardziej odległych. Warsztatem pisarskim autor posługuje się ostrożnie, nie eksperymentuje, wykorzystując zrozumiałe słownictwo. Momentami, ze względu na dużą ilość niepotrzebnych szczegółów i wyjaśnień, fabuła nie jest wartka i trochę nudzi. Przygoda, w której uczestniczy 10-letni chłopiec może być atrakcyjna dla młodego czytelnika i dlatego książkę Górkiewicza należałoby ustawić na półce adresowanej dla dzieci i młodzieży. ■

¹ OLSZTYN24: Spotkanie autorskie z Dariuszem Górkiewiczem w Planecie 11 <https://www.youtube.com/watch?v=j16BQ5fbXvs>

² D. Górkiewicz, Menuwea, Wydawnictwo Agrafka, Przecław 2022, s. 23.

³ Na FB pisarza czytamy w poście z 7 października 2023 roku: „Dawno, dawno temu, był sobie pewien młody mężczyzna. Chłopca tego wypełniała wściekłość na cały świat. W jego pobliżu żadna szyba w oknie nie mogła się czuć bezpieczna, bójkę chodziły z nim krok w krok, a szkoła była mu bardzo nie po drodze. Dorosli mówili, że źle skończy. Chłopiec znał się dobrze z dzielnicowym, szkolną psycholog, dyrektorem szkoły i innymi podobnymi szychami. Ucieczka z domu i wagary zdawały się jego ulubionymi zajęciami. Nauczyciele w podstawówce nazywali go: łobuz, bałwan, czy nieuk albo wprost: debil, idiota, styśzał, że jest małym sk...synem, bywał bandytą i kłamcą. Nie czuł się związany z żadnym z tych imion, chociaż już w pierwszej klasie świetnie podrabiał podpisy rodziców, a potem było tylko lepiej, jednak umiejętności tych nie nabywał w szkole. Zatem nic szkole nie zawdzięczał. To był wrogi świat, a on się starał tylko przetrwać. Nikt się tam nie zwracał do niego po imieniu, wołano go z nazwiska, numerem z dziennika albo jakimś przykrym rzeczownikiem. A w sercu nosił nienawiść do ludzi, którzy nazywali go tym numerem z dziennika. W wieku 13 lat uważał, że nigdy nie spotkał na swojej drodze człowieka. Czytał dużo, obserwował świat, ale ci, co go otaczali, nie wyglądali mu na ludzi. Wydawało się, że wściekłość będzie rosta i rosta, aż w końcu eksploduje i podpali jego świat”. https://www.facebook.com/p/Dariusz-Gorkiewicz-strona-autorska-100084931065565/?_rdr

⁴ Górkiewicz, Menuwea, s. 572.

⁵ Tamże, s. 453.

JAKUB JAGODZIŃSKI

O jedynym emporium wczesnośredniowiecznych Żuław

Kiedy w XIII wieku tereny Żuław Wiślanych dopiero zaczynały być intensywnie kolonizowane, od dawna do historii należał pierwszy ważny ośrodek, który powstał w tym regionie. Mowa o Truso – osadzie, która zapoczątkowała długą tradycję zróżnicowanych kulturowo i etnicznie Żuław.

Jeszcze zanim osiedlili się tu koloniści z Niemiec i Niderlandów, Żuawy Wiślane były domem dla różnych ludów i kultur. We wczesnym średniowieczu ziemie te zamieszkiwały społeczności słowiańskie i pruskie. Te pierwsze po obu stronach Wisły wznosiły grody, a nawet tworzyły zręby wspólnot regionalnych. Jednak za-
den z wymienionych etnosów nie odpowiadał za budowę najważniejszego ośrodka rzemieślniczo-handlowo-portowego w regionie. Był on bowiem dziełem przybyszów ze Skandynawii, których świat zapamiętał pod nieco mylącą nazwą „wikingowie”. Mylącą, bo tylko niewielki odsetek ówczesnych Skandynawów rzeczywiście zajmował się grabieżą. Na czym więc polegał fenomen miejsca, które stworzyli na terenie Żuław Wiślanych?

Wikingowie na Żuławach

W końcu VIII wieku, w kilku miejscach na południowych wybrzeżach Bałtyku goście z Północy założyli osady, które pozwoliły im rozwinąć gospodarkę i usprawnić handel. Ośrodki powstające po obu stronach morza (w literaturze anglojęzycznej określane są mianem ports of trade) były do siebie bardzo podobne – lokowano je w pobliżu Bałtyku, jednak nie bezpośrednio nad samym morzem. Przestrzeń takich miejsc podzielona była na trzy główne strefy (portową, centralną i peryferyjną), choć najbardziej specyficzną cechą pozostawał nieagrarny charakter takich ośrodków – skupiały one kupców i rzemieślników, zaś rolnictwo nie miało tam żadnego znaczenia. Charakterystyczna była też uporządkowana zabudowa: na poszczególnych parcelach wznoszono drewniane warsztaty, magazyny i typowe dla ówczesnej

Skandynawii długie domy. Całość otaczano wałem od strony lądu i zabezpieczeniami palisadowymi od strony wody.

Jedną ze sztandarowych (obok duńskiego Hedeby oraz szwedzkiej Birki) osad tego typu, a także jedyną z terenu dzisiejszej Polski, było Truso. Skandynawscy przybysze założyli ją na Żuławach w delcie Wisły, bezpośrednio nad Jeziorem Drużno, osiem kilometrów od dzisiejszego Elbląga. Mieszkało tam do tysiąca osób: głównie kupców i rzemieślników wraz z rodzinami. Niech nie zwiedzie nas pozornie niewielka liczba mieszkańców ani brak murowanej architektury. Już podstawowe informacje o tej osadzie mogą przywołać na myśl nawet stolice nowoczesnych państw. W Truso słychać było różne języki, spotykano wyznawców rozmaitych religii, płacono orientálną walutą wspólną dla rozległych obszarów, importowano surowce i wina, a eksportowano gotowe produkty trafiające na rynki nawet w najodleglejszych zakątkach Europy i świata. Jeśli to nie są przejawy globalizacji, to co nimi jest?

Choć z perspektywy największych ówczesnych metropolii takich jak Kordoba, Bagdad czy Konstantynopol, Truso może wydawać się niewielką osadą, to dla regionu stanowiło okno na świat. Rzeką Ilfing (dziś Elbląg) wpływno do Zalewu Estyjskiego (dziś Zalew Wiślany), skąd wypływno już na otwarte wody Bałtyku.

Żuławska Troja?

Truso stało się legendą na długo przed odkryciem. Osadę wzmiankował Wulfstan – anglosaski przedstawiciel dworu króla Alfreda Wielkiego. Wiemy o nim niewiele – badacze domyślają się, że mógł być podróżnikiem, handlarzem, misjonarzem lub dyplomata, ale z uwagi na ubóstwo źródeł, profesja Wulfstana prawdopodobnie zawsze będzie jedynie przedmiotem domysłów. Z relacji tego tajemniczego Anglosasa nie dowiemy się też nic o samym Truso. Wulfstan odnotował jedynie, że „jechał z Haede, że przybył do Truso w siedem dni i nocy, że okręt szedł przez całą drogę pod żaglami”. Dalsza część jego relacji dotyczyła już zwyczajów Prusów, które opisał z niezwykle



Cyfrowa wizualizacja Truso (fot. Archiwum MAH, prawa zastrzeżone)

etnograficznym zacięciem. Jest to jedno z kluczowych źródeł dla poznania kultury społeczności estyjskich, ale też wzmianka, która od epoki romantyzmu zaczęła rozpałać wyobraźnię elbląskich regionalistów.

W XIX wieku uczeni zaczęli zastawiać się nad tym, gdzie znajdowało się Truso – emporium, do którego dołynął Wulfstan. Z samego opisu jasno wynikało, że musiały być to okolice Elbląga lub teren samego miasta. Początkowo swoje propozycje kreślili historycy i archeolodzy niemieccy. W ówczesnym Elbingu jedna z ulic została przemianowana na „Trusostrasse”, a oddana do użytku w 1913 roku szkoła nosiła nazwę „Truso Schule”. Po II wojnie światowej poszukiwania kontynuowali polscy badacze. Na terenie przyłączonego już do Polski Elbląga otwarto zakłady odzieżowe Truso, później nazwę przejęło jeszcze kilka innych inicjatyw regionalnych.

W gronie badaczy poszukujących Truso był też Marek F. Jagodziński. Wiosną 1981 roku elbląski archeolog podczas wyprawy rowerowej dostrzegł na polu szczątki przepalonych kości, fragmenty naczyń ceramicznych i kawałki bursztynu – wszystko to jasno wskazywało, że na niepozornym polu w miejscowości Janów Pomorski znajduje się stanowisko archeologiczne. W toku prowadzonych badań okazało się, że zgodnie z intencjami odkrywcy, wspomniane świadectwa archeologiczne były pozostałościami Truso.

Trudno nie dostrzec analogii do romantycznej historii o niemieckim poszukiwaczu – Heinrichu Schliemannie i opisanej przez Homera Troi. Choć dzieło Wulfstana nie było tak głośne, ani nie miało podobnych walorów literackich, a znaczenie samej osady nie było aż tak ogromne, to w obu przypadkach udało się też nadać legendzie rzeczywisty wymiar. Szczęśliwie Truso, w przeciwieństwie do Troi, badane było od początku przez zawodowych archeologów, dzięki czemu od początku badań zachowane zostały najwyższe standardy pracy w zakresie dokumentacji, obchodzenia się z zabytkami i etyki zawodowej.

Co odkryto i co dalej?

Dziś, ponad czterdzieści lat po odkryciu, nie ma wątpliwości, że Truso było skandynawskim emporium. Wskazuje na to zarówno organizacja samej osady, jak i odkryte podczas jej badań zabytki. Truso okazało się jednym z najważniejszych stanowisk archeologicznych w kraju – to tam natrafiono na najstarsze ślady chrześcijaństwa na ziemiach polskich, tam krzyżowały się wczesnośredniowieczne szlaki handlowe, a także funkcjonowało jedyne wikińskie emporium w obrębie dzisiejszej Polski. Podczas wykopalisk odkryto m.in. pozostałości pracowni bursztyniarskich, rogowiarskich czy kowalskich. Nie zabrakło też charakterystycznych dla epoki wikingów



Fragment srebrnej zawieszki przedstawiającej Walkirię, (fot. Archiwum MAH, prawa zastrzeżone)

artefaktów, takich jak zawieszki w kształcie młotów Thora, wyobrażenia Walkirii, Odyna czy Lokiego, a także pionki do gry hnefatafl i broń. Obecność chrześcijan wśród mieszkańców Truso poświadczają zaś zawieszki z motywem krzyża czy kołtwicy, a także naczynia liturgiczne. Handlowy charakter osady potwierdzają z kolei liczne odkrycia arabskich monet – łącznie jest to ponad 1000 monet i 1200 odważników.

Na co dzień historię osady można poznać, oglądając wystawę stałą „Truso. Legenda Bałtyku”, prezentowaną w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. O jej randze świadczy choćby fakt, że ekspozycje były wypożyczane przez czołowe muzea w Europie. Artefakty z Truso można było oglądać m.in. na ekspozycjach w Berlinie, Pradze, Londynie, Kopenhadze czy Wilnie. Popularyzacja nie ograniczała się jednak wyłącznie do działalności muzealnej. Na temat Truso napisano kilkaset artykułów i kilkanaście monografii naukowych. O odkryciu i badaniach pisały właściwie wszystkie rodzaje czasopism, włącznie z prasą bulwarową. Truso pojawiło się nawet w kultowej serii książek „Pan Samochodzik”. Wydawać by się mogło, że

tematyka osady jest więc powszechnie znana. Tymczasem odpowiedzi udzielane w niedawnej sondzie ulicznej pokazują, że dla wielu elblążan „Truso” kojarzy się dziś bardziej z lokalnymi inicjatywami noszącymi tę nazwę niż z samą historyczną osadą.

Być może szansą na właściwe wykorzystanie potencjału osady jest budowa repliki Truso. Pomysł odtworzenia fragmentu emporium w formie archeologicznego muzeum na wolnym powietrzu pojawił się już blisko trzydzieści lat temu. Dotychczasowe projekty zakładają, że byłaby to „żywa” osada, której zabudowania stanowiłyby atrakcję dla turystów, ale też byłyby odpowiednim zapleczem dla działalności grup rekonstrukcji historycznej i archeologii doświadczalnej. Na zwiedzających replikę Truso czekałyby warsztaty edukacyjne, możliwość poznania kulis dawnych rzemiosł, a także rejsy łodzią wikińską. Byłaby to jedyna tego typu atrakcja w regionie, więc jej potencjał turystyczny jest ogromny. Wikingowie – jeden z najbardziej nośnych tematów w popkulturze – mogliby stać się symbolem promującym Elbląg i okolice. Byłaby to także szansa na rozwój turystyki kulturowej na Żuławach Wiślanych. Ci, którzy już dziś chcą poczuć ducha wczesnośredniowiecznej Europy, mogą wybrać się w malownicze okolice jeziora Drużno – tam, gdzie kiedyś tętniło życiem wikińskie emporium. Być może w przyszłości oprócz atrakcyjnych krajo-
brazów okolice zyskają też odpowiednią zabudowę w postaci repliki osady, która będzie godnie przypominać o wikińskim epizodzie regionu. ■

Bibliografia:

J. Jagodziński, *Archaeological research and the development of tourism in Poland – the past, the present, the future*, „Zeszyty Naukowe Muzeum Budownictwa Ludowego – Park Etnograficzny w Olsztynie”, r. 6, z. 6, 2015, s. 61-71.

M.F. Jagodziński, *Truso. Między Weonodlandem a Witlandem*, Elbląg 2010.

M.F. Jagodziński, *Truso. Legenda Bałtyku*, Elbląg 2015.

JAKUB JAGODZIŃSKI – doktor nauk humanistycznych w zakresie archeologii, a także etnolog i antropolog kultury, pracownik Działu Naukowego w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu, popularyzator nauki, podróżnik. Autor artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz książki „Goście, kupcy, osadnicy. Kontakty Słowian Zachodnich i Skandynawów w epoce wikingów” (Elbląg, 2023). Lubi poezję Kazimierza Wierzyńskiego, prozę Jacka Kerouaca i myśli Ericha Fromma.

MARY RUMI

Żuławy i kusząca depresja

Kiedy okazało się, że tematem, od którego się „odbijam” w tym numerze pisma, są Żuławy i depresja (w rozumieniu pierwotnym, czyli „położenie terenu poniżej poziomu morza”), to prychnęłam śmiechem. Chyba depresja już stale krąży wokół mnie. Obserwuję zawstydzenie części ludzi od momentu, gdy wydałam jazzową płytę z depresją w tytule. Umieściłam tam „ludzką depresję”, tę odnoszącą się do naszego samopoczucia i znalezienia się poniżej poziomu, w którym myślimy konstruktywnie, pozytywnie lub mamy siłę na działanie.

Depresja – to w moim rozumieniu forma specjalnego stanu: terenów czy człowieka. Jest niezręczna. Obawiamy się, że osłabi nasz wizerunek. A ten winien być zawsze zwycięski. Mogę sobie więc tylko wyobrażać, ile napięć towarzyszyło rozmowom na temat niezręcznych i pożądanых Żuław. Poniżonych, miękkich i w depresji, a nie wywyższonych jak fortece, zamki, legendarne twierdze na twardych zboczach skalistych. Miejsce, gdzie przez stulecia uprawiano rolę, stawiano krzyżackie warownie, czy pruskie i słowińskie osady. Wodniste, grząskie grunty, które specjalnie osuszono. Region, w którym krzyżowały się kultury, obyczaje, języki i szlaki handlowe, a życie było przez lata nieprzewidywalne i to z większej ilości powodów niż statystycznie. Bo mieszkańcom Żuław groziło nie tylko inni ludzie, ale i nieuchronne, cykliczne kataklizmy powodziowe. Wysoka klasa ziem torfowych była jednak zbyt kusząca, więc wiadomo, że dalej kombinowaliśmy – jak zwykle. Od razu kojarzę inne, sztucznie uregulowane rzeki na świecie, osuszone bagna, ograniczone linie brzegowe, zalane hektary, poniżone i przekopane tunelami góry, itd. Przychodzą mi do głowy laureaci tegorocznej Literackiej Nagrody Warmii i Mazur

MARY RUMI – artystka, twórczyni, głównie muzyczna. Wokalistka, kompozytorka, kocha słowa i pisanie, czuła na kolory, ludzi i ich twarze, klimaty, dobrą kuchnię. Mieszka w gatunkach i stylach. Utożsamia się z Warmią. Działa na rzecz popularyzacji gwary, m.in. prowadzi zajęcia umuzykalniająco-chóralne dla dorosłych. Laureatka i stypendystka, z nominacją do Fryderyka.

„Wawrzyn” i nagrodzony dwualbum fotograficzny „Grus Grus” Andrzeja Waszczuka, w którym pokazał piękno żurawi na zdjęciach zgromadzonych przez lata, z miejsc na Warmii, które już nie istnieją bo zostały (lub wkrótce będą) osuszone. Od tysiącleci modyfikujemy planetę pod swoje potrzeby i widzimisię. W miarę rozwoju technologii nie mamy żadnych ograniczeń, prócz finansowych. Możemy wszystko. Robimy co chcemy i na co nas stać. Taka już jest ludzka szarańcza, która „czyni sobie ziemię poddaną”. I w tym aspekcie jesteśmy bezwstydni. Wręcz dumni z osiągnięć. Nawet jeśli zapałona za owe modyfikacje cena jest niewyobrażalna, a czas samego procesu równy kilku stuleciom, a więc dziesiątkom generacji.

W bieżącym XXI wieku jesteśmy, jako opiekunowie m.in. Żuław, znowu bardziej zradkalizowani i spolaryzowani. Raczej nie pozwalamy teraz innym narodom zasiedlać całych połaci polskich terenów – dla ich bezpieczeństwa lub w celu jakiejś naszej, odsuniętej w czasie korzyści. W XVI wieku i z grubsza przez cztery kolejne stulecia byliśmy domem dla protestanckich uchodźców z Europy Zachodniej. Holendrzy, a konkretniej menonici, znali się na melioracji. Na setki lat żuławskie ziemie zalewowe, będące wtedy pod zarządem Gdańska, znalazły idealnych opiekunów–osuszaczy. W olsztyńskim skansenie można przejść się, podziwiając wspaniałość ich rozwiązań architektonicznych. Domy wzniesione częściowo na palach, umożliwiające funkcjonowanie w najtrudniejszych hydrokolicznościach. Pięknie udekorowane. Majestatyczne. Ostatni potomkowie tych niezwykłych budowniczych uciekli, tym razem z naszych ziem – w połowie XX wieku, czyli po czterech stuleciach. Jako gatunek wiercimy się pasożytniczo. Chyba nie mamy wyboru. Czy taka jest właśnie cena kreatywności wpisana w nasze rozbudowane mózgi, że innej drogi nie ma? Że aby móc napisać najczulej, trzeba stanąć nad zimnym truchłem ukochanych? I poczuć wtedy prawdziwie, dopiero żałując zła, które doprowadziło do tragedii?

Żuławy dobrze mi się zawsze romantyzowało. Są metafizyczne. Przepiękne, choć dla mnie nieco zbyt płaskie. Ale są też pomnikiem naszych głodów, chciejstwa, temperowania rzeczywistości do momentu, w którym ostry jak szpilka czubek zwyczajnie przesyje nas na wskroś. ■

KRZYSZTOF KAPINOS

Elbląg i Hanza: zapomniana potęga Bałtyku

Elbląg, dziś nieco w cieniu Gdańska, był niegdyś jednym z najważniejszych miast handlowych na Bałtyku. Jego przynależność do Hanzy – średniowiecznego związku miast kupieckich – przyniosła mu bogactwo, wpływy i rozwój gospodarczy. Choć dziś mało kto pamięta o hanzeatyckiej przeszłości Elbląga, ślady tego dziedzictwa można odnaleźć w literaturze, sztuce i architekturze miasta.

Hanza – gospodarcza potęga średniowiecznej Europy

Hanza, powstała w XIII wieku, była sojuszem miast handlowych Europy Północnej, który kontrolował szlaki morskie i lądowe od Londynu po Nowogród. Kupcy hanzeatyccy wymieniali zboże, drewno, futra i bursztyn na luksusowe towary z Zachodu, takie jak wino, przyprawy czy tkaniny. Do związku należały m.in. Lubeka, Hamburg, Gdańsk, Toruń i Elbląg.

Dzięki przynależności do Hanzy Elbląg stał się jednym z kluczowych portów Bałtyku. Położenie nad rzeką Elbląg i bliskość Zalewu Wiślanego sprzyjały rozwojowi handlu i rzemiosła. Miasto słynęło z produkcji piwa, sukna oraz budowy statków, a jego kupcy cieszyli się licznymi przywilejami handlowymi.

Jak Hanza zmieniła Elbląg?

W XIV wieku Elbląg osiągnął szczyt swojego rozwoju. Dzięki członkostwu w Hanzie jego kupcy mogli swobodnie handlować w całej Europie, co przynosiło ogromne dochody. Miasto stało się ważnym ośrodkiem politycznym i gospodarczym regionu, konkurując nawet z Gdańskiem.

Przynależność do Hanzy oznaczała jednak nie tylko korzyści, ale także zobowiązania. Elbląg musiał przestrzegać surowych zasad handlowych, uczestniczyć w wojnach Hanzy i chronić jej interesy. Gdy w XV wieku potęga Hanzy zaczęła słabnąć, a Gdańsk zdobył dominującą pozycję, Elbląg stopniowo tracił swoje znaczenie.

Hanzeatycki Elbląg w literaturze i sztuce

Choć historia Elbląga w Hanzie nie jest tak znana jak dzieje Gdańska czy Lubeki, można ją odnaleźć w źródłach historycznych i dziełach sztuki. W „Kronice miasta

Elbląga” Carla Beckera znajdziemy szczegółowe informacje o roli miasta w Hanzie, a średniowieczne dokumenty hanzeatyckie, przechowywane w archiwach Lubeki, Hamburga i Elbląga, zawierają liczne wzmianki o elbląskich kupcach i ich transakcjach. W literaturze pięknej Elbląg pojawia się między innymi w „Krzyżakach” Henryka Sienkiewicza jako istotne miasto handlowe i polityczne. Ślady hanzeatyckiej przeszłości odnaleźć można także w sztuce – w muzeach zachowały się średniowieczne pieczęcie i herby Elbląga, a malowidła i ryciny, przedstawiające hanzeatyckie porty, często przypominają krajobraz miasta z czasów jego świetności. Hanzeatyckie dziedzictwo Elbląga dostrzegalne jest również w architekturze. Mimo zniszczeń wojennych elbląska starówka zachowała ślady dawnej historii – gotycki kościół św. Mikołaja oraz kamienice kupieckie przypominają o bogactwie, które Elbląg zawdzięczał przynależności do Hanzy.

Hanza we współczesnym Elblągu

Choć Liga Hanzeatycka przestała istnieć, jej dziedzictwo nadal jest obecne. Elbląg, podobnie jak inne dawne miasta hanzeatyckie, uczestniczy w inicjatywach promujących hanzeatycką kulturę i historię. W ramach współczesnej Hanzy organizowane są wydarzenia, rekonstrukcje historyczne i spotkania miast hanzeatyckich, które przybliżają mieszkańcom i turystom zapomnianą potęgę średniowiecznego Elbląga.

Dziś miasto stawia na promocję swojej hanzeatyckiej przeszłości, chcąc na nowo wykorzystać dziedzictwo, które kiedyś uczyniło je jednym z najważniejszych portów na Bałtyku. Czy Elbląg odzyska dawny blask? Czas pokaże, ale jedno jest pewne – hanzeatycka historia wciąż żyje w murach, dokumentach i pamięci mieszkańców. ■

KRZYSZTOF KAPINOS

Miasto dresiarzy

Elblągu, w miejscu, w którym się urodziłem, zawsze byłeś bardziej nasz niż ich.

Tyle, że dzięki Tobie mogliśmy czuć się lepiej. Mogliśmy czuć się lepsi. Nie Pomorze, ale jednak rzut kamieniem – gdzieś blisko. Blisko na pewno nie był Olsztyn, blisko nie był Toruń, blisko nie była Warszawa. Trójmiasto to co innego – stolica, punkt odniesienia, świat. A Elbląg? Elbląg – niby daleko, a jednak blisko. Jakby ktoś zostawił miasto na krańcu Pomorza i zapomniał przypiąć je do reszty regionu. Lata 90. jeszcze bardziej podkreśliły tę osobliwość.

Dla wielu Pomorzan Elbląg był wtedy jak kuzyn z innego województwa – w teorii rodzina, ale jednak nie do końca swój. Owszem, blisko, ale czy naprawdę nasz? W świadomości mieszkańców Tczewa i okolic funkcjonował jako miejsce, gdzie można było znaleźć pracę w trudnych czasach transformacji, ale także jako miasto, które jeszcze wczoraj należało do województwa elbląskiego, a nagle stało się warmińsko-mazurskie. Był w tym pewien paradoks – historycznie i mentalnie związany z Pomorzem, administracyjnie trafił w zupełnie inne ramy. Nie każdy się z tym pogodził.

W latach 90. Elbląg budził różne skojarzenia – jedni mówili, że to miasto, które zaspalo, inni, że to niedoceniony skarb. Gospodarczo szukał nowej tożsamości po upadku wielu zakładów pracy. Fabryki, które przez dekady dawały zatrudnienie, zniknęły w mgnieniu oka, a mieszkańcy ruszali w poszukiwaniu lepszego życia – często właśnie w stronę Trójmiasta. Elbląg stał się miastem szarości, miastem pustki. Elbląg stał się miastem dresiarzy.

Ale miał też swoje atuty – nie tylko kanał i unikalne pochylnie, ale i pewien spokój, którego brakowało pędzącemu Tczewowi czy Gdańskowi. To tutaj można było uciec od wielkomiejskiego szumu i odkryć klimat miasta, które wciąż miało w sobie coś pruskiego, coś hanzeatyckiego i coś nie do końca odkrytego.

Dziś relacja Elbląga i Pomorza wciąż jest pełna kontrastów. Dla niektórych mieszkańców Tczewa to nadal „to miasto po drugiej stronie Wisły”, dla innych – miejsce na weekendowe wypady. Ale czy jest pełnoprawnym elementem pomorskiej



Fot. Urszula Madeja-Kulecka

tożsamości? To już temat na dłuższą debatę. Jedno jest pewne – Elbląg z mapy nie zniknie, a jego historia to wciąż niedokończona opowieść, w której Pomorze odegrało i nadal odgrywa niemałą rolę.

Ale czas powrócić do perspektywy prywatnej. Po Pomorzu nastąpił Olsztyn. I znowu ten Elbląg był gdzieś, ale już zupełnie inaczej. Z perspektywy Warmii i Mazur Elbląg zawsze był trochę na uboczu – niby część regionu, ale z własnym charakterem. Olsztyn, jako stolica województwa, patrzył na niego z dystansem, trochę jak na miasto, które administracyjnie wpadło do warmińsko-mazurskiego worka, ale nigdy się do końca nie zasymilowało. Bo przecież nie mówiło się tu o mazurskich jeziorach, nie świętowano warmińskiej tożsamości, a i gotyckie dziedzictwo krzyżackie było inne niż to, które budowało Olsztyn czy Lidzbark. Elbląg miał swój układ odniesienia – patrzył w stronę Bałtyku, a nie w stronę Krainy Tysiąca Jezior.

Dla mieszkańców Warmii i Mazur Elbląg był bardziej miastem tranzytowym niż celem podróży. Pociągami do Gdańska? Przez Elbląg. Droga nad morze? Przez Elbląg. Ale czy sam Elbląg był miejscem, do którego się jechało? Rządziej. Nie był wakacyjną przystanią jak Mikołajki, nie miał symbolicznej roli jak Frombork, nie był nawet tak swojski jak Olsztyn. Był inny. Miejsce, które miało swoją historię i własny puls, ale dla Warmii i Mazur wciąż pozostawało gdzieś na granicy – trochę u siebie, a trochę obok.

I tak zostałeś Elblągu w tej całej podróży – niby w sercu, ale jednak nigdy w głównej roli. Gdzieś tam majaczysz na czyimś uboczu. ■

PIOTR NIKE

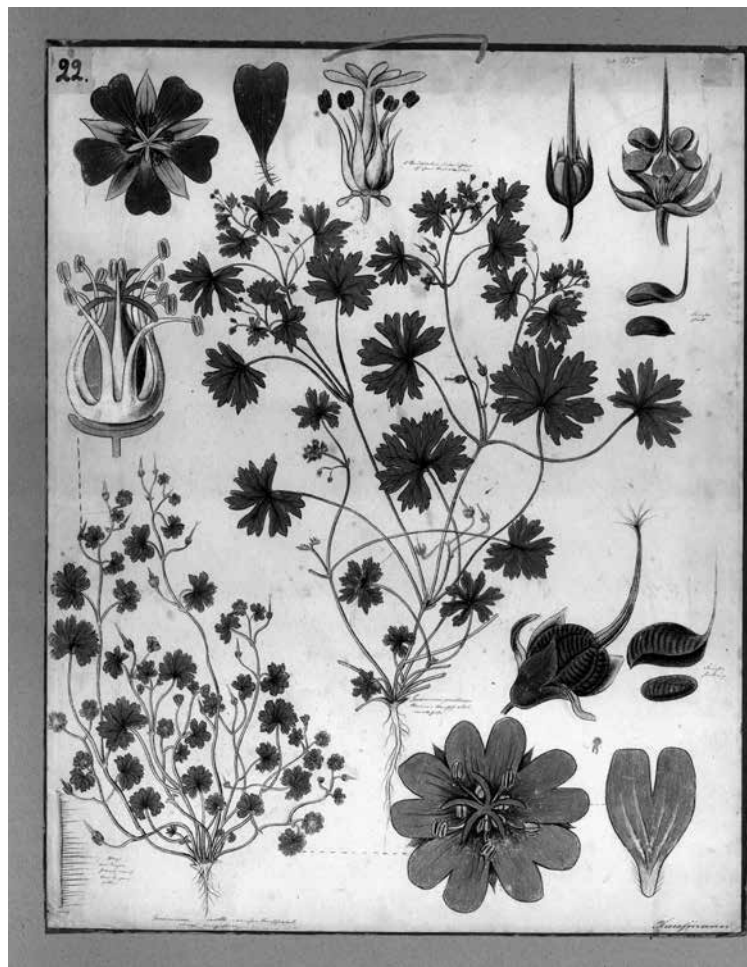
Elbląg, miasto w (edukacyjnym) rozkwicie

Wystawa plansz botanicznych Fryderyka Kaufmanna w Bibliotece Elbląskiej

W zbiorach zabytkowych Biblioteki Elbląskiej, których początki sięgają zasobów Gimnazjum Elbląskiego, od wieków przechowywano wiele ilustrowanych ksiąg poświęconych światu przyrody. Już w XVII wieku obok traktatów moralnych i podręczników retoryki pojawiały się zielniki, atlasy geograficzne i pierwsze przyrodnicze kompendia, dokumentujące rosnące zainteresowanie naturą. W miarę jak w XVIII wieku nauki przyrodnicze zaczęły zyskiwać trwałe miejsce w edukacji gimnazjalnej, Elbląg – za sprawą takich pedagogów jak Jakub Woit czy Otto Herwig – stawał się miejscem, gdzie prócz tacińskich maksym uczono także obserwacji i eksperymentu. Do dziś w zbiorach zabytkowych Biblioteki Elbląskiej zachowały się świadectwa tej edukacyjnej pasji. Dowodem jest najnowsze przedsięwzięcie Biblioteki Elbląskiej, które 28 czerwca wprowadzi miasto w botaniczny rozkwit.

Wszystko zaczęło się od donacji. Pani Hanna Szuszkiewicz, dyrektor Sportowej Szkoły Podstawowej nr 3 w Elblągu, przekazała bibliotece kilkadziesiąt niezwykle kunsztownych plansz botanicznych autorstwa Fryderyka Kaufmanna. Własnoręcznie wykonane, z precyzyjnym rysunkiem kredką i opisami pisanymi atramentem żelazowo-garbnikowym, przedstawiają rodzime gatunki flory. Z chwilą, gdy rozpoczęto ich konserwację, ruszyły też poszukiwania informacji o autorze. Okazało się, że Kaufmann (1847–1928) to postać nietuzinkowa: nauczyciel przyrody i rysunku w elbląskiej Oberrealschule, znawca grzybów, autor publikacji w pruskich czasopismach naukowych i utalentowany ilustrator, którego kolorowe rysunki okazów flory i mikoflory budziły uznanie zarówno wśród uczonych, jak i laików.

Plansze botaniczne, takie jak te autorstwa Kaufmanna, zajmują w historii przyrodoznawstwa miejsce szczególne. Od XVII wieku, wraz z gwałtownym wzrostem wiedzy o świecie ożywionym, ilustracja stawała się niezbędnym narzędziem w systematyce i nauczaniu. W czasach, gdy Buffon proponował encyklopedyczną wizję przyrody, a Linneusz wprowadzał binominalne nazewnictwo gatunków, wydawcy publikowali bogato ilustrowane atlasy i zielniki, które nie tylko dokumentowały różnorodność przyrody, ale pełniły też funkcję dydaktyczną i estetyczną. Najlepsi graficy i botanicy





Plansze 64 x 51 cm, przedstawiające bodzisza kosmatego oraz strzałkę wodną.

współtworzyli dzieła, w których precyzja rysunku szła w parze z elegancją kompozycji. Plansze stanowiły pomoc naukową, ale i obiekt kontemplacji – syntetyczny portret organizmu, ujęty w ramy systemu.

Choć Kaufmann działał już w realiach XIX-wiecznego Elbląga, jego twórczość wpisuje się w szerszy nurt lokalnej tradycji edukacyjnej. Warto pamiętać, że to właśnie tu, w Gimnazjum Elbląskim, nauczyciele tacy jak Jakub Woit wcielali w życie nowoczesne, jak na owe czasy, metody dydaktyczne: zamiast biernego studiowania tekstów – doświadczenia, eksperymenty, obserwacja. Biblioteka Elbląska, sięgając po dorobek takich postaci i przywracając pamięć o nieoczywistych nauczycielach jak Kaufmann, odwołuje się do tych samych wartości: edukacji przez kontakt z autentycznym obiektem, przez działanie i samodzielne odkrywanie.

28 czerwca Elbląg „zakwitnie” w pełnym tego słowa znaczeniu, kiedy zainaugurowane zostaną działania realizowane w ramach dużego przedsięwzięcia pn. „Elbląg. Miasto w rozkwicie. Wystawa plansz botanicznych Fryderyka Kaufmanna”. W zażytkowej sali „u św. Ducha” zaprezentowane zostaną oryginalne plansze, a ich reprodukcje pojawią się na posterach w przestrzeni bibliotecznego dziedzictwa oraz w Regio-tece, gdzie towarzyszyć będą wystawie starych druków, rękopisów i naturalistów związanych z królestwem roślin i grzybów. Ekspozycja „gablutowa” obejmie zarówno druki, jak i rękopisy przedstawiające bogaty obraz flory oraz mikoflory regionu, a także inne cenne pozycje z elbląskiej kolekcji o tematyce botanicznej, w tym najstarszy zielnik z naszych zbiorów – Herbariusz z 1485 r., a także dzieła takich autorów jak Szymon Syreniusz czy Otto Brunfels.

Co więcej, przy okazji Dni Elbląga (27-29 czerwca), Elbląskiego Święta Chleba (20-24 sierpnia) i Ogrodów Polityki (5-7 września), odbędą się działania o tematyce mykologicznej, ogrodniczej i drukarskiej, a także warsztaty artystyczne, podczas których uczestnicy własnoręcznie wykonają plansze botaniczne inspirowane stylem bohatera wystawy. Wydarzeniom, objętym patronatem Prezydenta Miasta Elbląga Michała Missana, towarzyszyć będą eleganckie pamiątki, wśród nich kolorowanki antystresowe i torby wykorzystujące oszałamiającą ikonografię elbląskich zbiorów zabytkowych. Dla miłośników natury i dawnej sztuki ilustracyjnej – okazja wyjątkowa. ■

PIOTR NIKE – Kierownik Działu Edukacji i Animacji Kulturalnej ElKamera w Bibliotece Elbląskiej. Na co dzień prowadzi zajęcia edukacyjne poświęcone m.in. historii książki i technologii drukarskich, realizuje projekty edukacyjne i kulturalne. Prywatnie interesuje się literaturą, kinem, a także tym, co odległe w czasie (np. paleontologia) i w przestrzeni (np. kosmosem).

SYRENKA
ZU
FLA
WS
KA

